ROZMAITOŚCI.

Dnia 29. Stycznia **Ner 5.** **Roku 1842.**

PAN SIEMASZ.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA MŁODEGO SZLACHCICA.

PRZEZ

STANISŁAWA JASZOWSKIEGO.

Zażył dni rozmaitych w czoła swego pocie,
Ale więcéj wesołych przy ojczystym płocie.
Kasper Miaskowski (1612.)

1.

CZARNA KAWA U KSIĘDZA REKTORA.

W czasach, które opisać zamierzam, w czasach mojego dziadka, nie było wychowanie tak wykwintne jak dzisiaj. Majętniejsza młódź szkolna, synowie senatorów i dygnitarzy koronnych, stali zwykle po konwiktach u Ojców Jezuitów lub Pijarów, ubożsi mieścili się po stancyjach z dyrektorem, który jeszcze także do szkoły chodził, a biorąc plagi w tym wieku *Alwara* i batogów, co w szkole dostał, na swych znowu uczniach odbijał, i plagi ze starszego na młodszych szły koleją, jak wzajemne uderzenia spowodowane jedną machiną elektryczną. Pan Siemasz, szlachcic na cząstce w samborskiém, w téj krainie cząstkowéj i zagrodowéj szlachty, niegdyś towarzysz pancerny i rębała z ostatnich walk ze Szwedami, w czasach powszechnéj gnuśności i pokoju osiadłszy, jak to powiadają, na swych śmieciskach, już czterdziesto-letni, pojął córkę swego sąsiada, pannę Pakoszównę, i o nimto jest podanie, że, jak się z swym teściem starym Pakoszem zdybał, dumnym, że miał o kilka włók więcéj, niż zięć jego, a ten go zapytał: »Jak się masz panie Siemasz?« — »Jakoż takoż panie Pakosz«, odpowiadał nasz stary towarzysz pancerny, bo nikomu, nawet teściowi swojemu, nie dał sobie według przysłowia w kaszę dmuchać. Owoż ten pan Siemasz spłodził syna Matyjaszka, a że sam ze starą szerpentyną więcéj po sejmikach się włóczył, niżeli domu pilnował, i nieraz jeszcze w ważnych rozprawach sejmikowych o *sumach neapolitańskich**), umiał gracko przeciwnikowi ucho odpłatać, Matyjaszek wyrósł więc jak topola pod okiem matki i miał już lat szesnaście, gdy skłoniono się nareszcie oddać go do szkół, a to do najbliższych, do Sambora. Oddano go zatém do infimy i przydano dyrektora, który już do syntaxymy chodził; umieszczono na stancyi u rzeźnika, a wikt pani matka przysyłała. Rzeźnik trzymał panicza za procent od pożyczonych mu trzystu złotych i był obowiązany co czwartek i święto dawać na stół studencki po dwa funty mięsa, zresztą co sobota przychodziły regularnie wiktuały od Jejmości i te rzeźniczka gotowała. W czasach postu nie szczędzono oleju i maku, i tak choćto na *żurze***), wychował się ładnie Matyjaszek i już jako dwudziesto-letni podrostek był w retoryce w onym czasie, od którego powieść nasza się zaczyna.

Ponieważ dobrze umiał po łacinie, jak przyznawał sam wuj jego, ksiądz szafarz Dominikanów samborskich, który Matyjaszka piernikami z konwentu zaopatrywał, póki w grasującém po Samborze powietrzu nie przeniósł się do wieczności; rodzice nie chcąc się nakłonić do rady księdza szafarza, by Matyjaszek do zakonu wstąpił, przezna-

*) O sumy neapolitańskie, do których po królowéj Bonie miała Rzeczpospolita pretensyję, najwięcéj kłócono się na sejmikach za panowania Sasów. Niechętni chcąc uwagę narodu odwrócić od spraw ważniejszych, zajmowali go tą czczą, trudną do odzyskania pretensyją i niejeden sejm nawet z tego powodu zerwano.

**) Znana na Rusi potrawa postna.

czyli go na palestranta; ale inaczéj chciały losy i nie zakosztował on nigdy jurystowskiego chleba.

Codzień przed szkołą szli studenci w ordynku na mszę, mniejsi klękali po bokach, a retorowie i poeci w samym środku kościoła. Lecz choćto już byli po największéj części wąsacze, biada, któryby się odważył rozśmiać lub obejrzéć w kościele, bo strasznym był batożek księdza rektora, którym librę papiéru od razu przecinał*). Stało się, że gdy raz tak w kościele klęczą i Matyjaszek skromnie na książeczce się modli, któréj był tytuł: *Głos synogarlicy na puszczy*, licho nadniosło panią Stolnikowę z córkami i musiał ją sam szatan do tego pokusić, że naprzeciw Matyjaszka usiadła. Byłato pani Iwanicka, znana mu z domu rodzicielskiego poważna matrona, i jak kwoka gnieździła się zawsze około trzech swych dorosłych córek, z których najstarsza dwadzieścia, a najmłodsza może lat szesnaście miała. Każda z nich modliła się na osobnéj książce, tylko najmłodsza Jadwisia przypadkiem swojéj zapomniawszy, na pamięć odmawiała koronkę. Widać było jednak, że to zapomnienie w kłopot ją wprowadzało, jakby teraźniejszą damę kłopotało zostawienie w domu lorynetki, bo nie śmiała oczu podnieść i często rumieniła się, a było jéj tak ładnie z rumieńcem, jak róży zroszonéj rosą poranną, gdy się do słońca uśmiecha. Spostrzegł to Matyjaszek, lecz nie wiém, co spostrzegł, czy rumieńczyk, czy brak książki u panny stolnikówny, dosyć, że coś spostrzegłszy, często odtąd do jéj ławki zwracał spojrzenie. Coś, czego nie doznał jeszcze, obudziło się w jego piersi, przyjemniéj robiło się mu na sercu niż na widok pierniczków wujaszka, a duże gockie litery *Synogarlicy* migały przed jego wzrokiem, jak extra-poczta rossyjska. Nigdy się mu panna Jadwiga tak ładną nie wydawała jak wtedy; jako znajoméj chciał się z duszy ukłonić, lecz nie śmiał; nareszcie ośmiela się do ukłonu, powstaje z ordynku i nie mającéj książki panience ofiaruje swoję *Synogarlicę*. Co się wtedy działo w jego sercu, trudno opisać, zapłonął ogniem, drżał na całém ciele i dawno już z powrotem klęczał w ordynku, a drzenie go jeszcze nie opuszczało. Jak gdyby miał zawrót głowy, kręcili się z nim święci po sklepieniach kościoła. Byłby tak klęczał przez dzień cały, i aż musiano go szarpnąć za związane z tyłu rękawy kątusika, ażeby powstał i wrócił w ordynku do szkoły.

Już wchodził na kurytarz, gdy nadszedł surowy ksiądz rektor. Orlim wzrokiem rzuciwszy po studentach, utkwił go w Matyjaszka i rzecze: »Przyjdziesz waść do mnie po szkole na czarną kawę.« Matyjaszek struchlał, zadrzeli koledzy usłyszawszy te złowieszcze wyrazy, bo wiedziano w całéj szkole, czém pachną takie zaprosiny. Można sobie wyobrazić, jak dzisiejszych dwie godzin w klasie strawił nasz Matyjaszek. Zimne i gorące przechodziły go poty i szczęściem było dla niego, że nie był od profesorów wyrywany, byłby o wszystkiém prawił, tylko nie o lekcyi. Nawet obraz rumianéj Jadwisi, ustąpił z jego wyobraźni innemu dotkliwszemu obrazowi, który przedstawił się myśli jego w smutnéj rzeczywistości.

Uderzyła nareszcie na zégarze szkolnym godzina dziesiąta, któréj ostatnie brzmienie śmiertelném zimnem przebiegło po zafrasowanym Matyjaszku. Z wyrazem radości na twarzy wysypała się młódź z klas wszystkich na chwilową rekreacyję, on jeden tylko szedł powoli i coraz nieśmieléj zbliżał się do drzwi rektorskich. Zadzwonił, wszedł — i jak trup blady przy drzwiach stanął. »A to ty kochanku?« rzecze rektor, »przystąpno bliżéj.« — Mechanicznie prawie przystąpił Matyjaszek. — »Co to waść« mówił daléj rektor, »wychodzisz z ordynku w kościele i Boże odpuść! rozdajesz książki białogłowom?« — Na to pytanie nic nasz milczący oponent nie odpowiedział, tylko nie śmiąc oczu podnieść do góry, miał czapeczkę i obracał w ręku, a pod pachą dusił Cycerona, że aż skórzane kompaturki trzeszczały. — »Ażeby tego więcéj nie było«, kończył przemowę ksiądz rektor, »połóż się kochanku.« Bez najmniejszéj opozycyi położył się Matyjaszek na przygotowany już i zasłany kobiercem stołek; ksiądz rektor zażywszy z największą obojętnością tabaki, dobył doświadczonego batożka i wypalił Matyjaszkowi własnoręcznie pięć odléwanych

*) Z ustnego opowiadania.

plag, i szczęściem jeszcze, że tą razą figury *Repetitionis* nie użył. Zwlókł się nasz Matyjaszek ze stołka, zabrał Cycerona, pokornie podziękował za karę, bo taka była szkolna formalność i poszedł do stancyi nie myśląc już o Jadwisi, a tylko o tém pamiętając, ażeby ani panu dyrektorowi, ani nikomu o odebranéj karze nie mówić, bo żywo tkwiła mu w umyśle ta maxyma szkolna:

»Żeby cię smażono w smole,
Nie powiadaj, co się dzieje w szkole.«

2.

DYJALOG.

Zbliżał się dzień św. Stanisława Kostki, patrona konwentu i szkół, i księża profesorowie chcieli z dyjalogiem wystąpić. Ksiądz profesor poetyki, z urzędu już poeta kolegijalny, zakasał się, niech tak rzekę, do roboty, bo gdy się licznego zjazdu obywateli i dobrodziejów konwentu spodziéwano, chciał czémś nowém, czémś odznaczającém się popisać. Zniesiono mu z biblijoteki klasztornéj wszystkie posiadane druki i rękopisma tego rodzaju, i zanurzył się w nich jak szczupak w pełnéj wodzie, szukając weny poetycznéj, skandując wiérsze i układając poważno-krotochwilne sceny. Tymczasem laicy konwentu, biegli we wszelkich rzemiosłach, przybrawszy w pomoc kilkunastu *pauprów* i wszystkich kalafaktorów, szyli ubiory i wyklejali z kolorowego papiéru dekoracyje, bo im ksiądz profesor podszepnął, jaka będzie treść dyjalogu i czego do zewnętrznego przyozdobienia jego potrzeba. Płód ten mozoły profesorskiéj, owoc kilku niedospanych nocy, ukończonym był nareszcie, i czarno na białém zajmował kilkanaście drobno pisanych arkuszy. Wyrażał myśl oryginalną, walkę trybów deklinacyjnych i wywody ich przed trybunałem uosobistnionéj gramatyki. Szczególnie piękną rolę nadał ksiądz profesor trybom *gerundyjum, plusquamperfectum* i *supinum* i odczytawszy ten płód swój zgromadzonemu kolegijum, gdy przytém zręcznie wmieszanych pochwał i aluzyj panegirycznych dla dobrodziejów klasztoru nie szczędził, uzyskał głośne pochwały całego uczonego zgromadzenia. Pochwalony w ten sposób dyjalog, na role przepisano, do czego użyto znowu mających piękny charakter studentów, a gdy przyszło do rozdania ról, nie zapomniano o Matyjaszku i rola *supinu*, nito prześladowanego przez zawzięte *gerundyjum* cnotliwca, ulubiony i *cum vena poetica* najwypracowańszy charakter dyjalogu, dostała się jemu w podziele. Zapomniano już bowiem o owéj nieszczęsnéj czarnéj kawie u rektora, i ładnie zbudowany, rosły, dźwięczną wymowę mający Matyjaszek, był uznanym za najzdatniejszego do odegrania tak subtelnéj nadzmysłowéj *persony*. Patrzano przez palce, choć kiedy lekcyi nie umiał, byle codzień stawił się u księdza autora dla wyrecytowania przed nim nauczonego peryjodu i powzięcia stosownych informacyj. Obrazki jak grad leciały w nagrodę pilności, bo Matyjaszek miał dobrą pamięć i jakbądź naciągane frazesy i rymy, kieby z rękawa bez zająknienia wytrzęsał.

Nadszedł nareszcie dzień świętego Patrona, a z nim wieczorem miał się dyjalog odprawić. Już od świtu w kolaskach, bryczkach, kałamaszkach i konno zjeżdżała się szlachta okoliczna na to rzadkie w Samborze widowisko. Prawie wszystkich studentów poprzybywali rodzice, i tylko państwa Siemaszów nie było, bo stary Jegomość, wielki przeciwnik wszelkich reprezentacyj teatralnych, uważał to z ujmą rodowitego szlacheckiego klejnotu, ażeby szlachcic, jak się wyrażał, błaznował publicznie. »To Mocium panie nie jest akt przyzwoity dla szlachcica« mawiał; »walka z Tatarami lub Szwedami, to jego prawdziwe *teatrum;* a gdy teraz nié ma z kim spotkać się na ostre, to niech się rąbie po sejmikach lub szermierzy u kratek trybunalskich, tam dla niego pole popisu!« Nadaremnie namawiała go pani małżonka, ażeby pojechał, chciała bowiem widzieć popisującego się swego ukochanego synaczka; stary uparł się, gdérał i mimo łez żony na swojém postawił. »Nie winię go« rzekł, »musi być posłusznym profesorom, bo *obedientia* piérwszą regułą szkoły; ale sam bym się wstydził za niego, patrząc, jak błazna udaje.« Tymczasem nie wielu było podobnież myślących, bo refektarz, gdzie wyklejone z płótna i papiéru stanęło *teatrum,* nabity był gośćmi płci obojéj, od piérwszych dygnitarzy ziemskich i szczególnych benefaktorów

konwentu, aż do najdrobniejszéj zagrodowéj szlachty, mającéj jakąkolwiek ze szkołami styczność. Jak gęsto na grzędach ogrodu osadzone arbuzy, wyglądały ogolone pałki zgromadzonéj szlachty, z pomiędzy których nierzadko także, jak słoneczniki w wirydarzu*), wystawały utapirowane fryzury, lub duże, najeżone na drutach dam kornety. Nito w rojowisku przytłumionym głosem gwarzyła szlachta; wreszcie na dany przez rektora znak, że się *teatrum* rozpocznie, cisza zaległa salę refektarza i tylko gdzie-niegdzie brzęk nieposłusznéj karabeli ze ściśnionego ozwał się rojowiska. Z wielką mozołą na warczących kołach podniosło się w górę prześcieradło i nieśmiały młodzian na środek sceny wystąpiwszy, w długim łaciną przeplatanym prologu opowiedział treść dyjalogu. Uczony ksiądz profesor zacząwszy od arki Noego, z wielką erudycyją rozwinął tok dzieła; klaskała szlachta, luboć w połowie nie rozumiała wygłaszanych frazesów, i krzyczała *wiwat!* za każdém wspomnieniem znakomitszych benefaktorów konwentu, którym pochwalnych nie szczędzono kadzideł. Tu sam dyjalog nastąpił. Student przedstawiający gramatykę, w długiéj niewieściéj szacie z ogromną księgą pod pachą, z długiémi z lnu włosami, a na głowie wszyszaku Minerwy, zaplątawszy się o ogón swéj szaty, omało nie upadł; lecz jeszcze wszystko szło dobrze, aż Matyjaszek w roli *supinu* na scenie się ukazał. Miasto, że płaczącym głosem miał się żalić, iż go tak srodze zawzięte *gerundyjum* prześladuje, wlepiwszy oczy w widzów zaciął się, a lubo rolę jak paciérz umiał, ani słowa nie mógł wybąknąć. Występuje *gerundyjum*, mając w orszaku wszystkie sześć spadków deklinacyi, wszczyna się walka, lecz *supinum* bez wszelkiéj opozycyi zmyka ze sceny, w ucieczce zawadza o ścianę papiérową, odrywa ją, a z jéj upadkiem całe papiérowe *teatrum* rozlatuje się w kawałki i zaledwo nieszczęśliwa gramatyka wydobyła się z ruiny przytłaczających ją papiérów, i z pośród ciżby uciekających bez porządku spadków. Téj nieszczęśliwéj dla Matyjaszka katastrofy, i tą razą była przyczyną pani Stolnikowa Iwanicka, która z córkami w piérwszéj ławce siedziała. Matyjaszek spostrzegłszy znowu pannę Jadwigę, o któréj już był zapomniał, tak się nieborak zmieszał, że wypadło mu z pamięci, co miał powiedzieć, a w ucieczce miasto wyjść bokiem, uderzył w przeciwną stronę i sprawił owo zamieszanie, którego smutnych dla siebie następstw w onéj chwili nie przewidywał. Tento może wypadek nieszczęśliwy, który széroko rozgłosił się z ujmą konwentu samborskiego po całém województwie ruskiém, dał myśl warmińskiemu wieszczowi do napisania wiérsza:

*Gdzie dużo przygotowań, tam nic z dyjalogu.**)

*) Wirydarz, ogród w dawnych autorach naszych.

3.

POWRÓT DO DOMU.

Wioska o pół mili od Sambora, należąca do dwudziestu dziedziców, z których najznaczniejszy miał trzydziestu, najmniejszy zaś tylko jednego poddanego i kilka włók ziemi, i te jako szlachcic sam przy szerpentynce uprawiał, była także państwa Siemaszów jako spółdziedziców siedzibą. Część ich obejmująca dwunastu poddanych, była jedną z lepszych, i mieszkali oni w małym, drewnianym, luboć słomą poszytym, lecz schludnym dworeczku, położonym blizko kościółka; dla tego też ksiądz proboszcz był co wieczora prawie zwykłym maryjaszowym gościem pana Siemasza. Byłoto jakoś dnia drugiego po św. Stanisławie Kostce i owym nieszczęsnym dyjalogu. Jako już w późnéj jesieni wiatr zachodnio-północny otrząsał ostatnie z drzew liście i gromadził chmury piérwszym zagrażające śniegiem. Dokuczliwe zimno jesienne nie dało sie jednak czuć w dworku, bo tam na kominie buchając ogniem, paliła się cała naręcz jałowcu, roznosząc wraz z ciepłem woń po komnacie, w któréj przy kominie, w obłożonym pierwistkami półsalopku, w kapiku materyjalnym**) siedziała pani Siemaszowa, odmawiała różaniec, przędła na kołowrotku i długiémi żelaznémi szczypcami poprawiała przygasające gałązki wonnego drzewa. Pod oknem zaś w krześle poręczowém usadowił się pan Siemasz, przyodziany w bajowy kubrak, i grał z księdzem proboszczem

*) Ignacy Krasicki.
**) Ubiór głowy.

po groszu w maryjasza. Na środku stołu stał pełny gąsior piwa, z którego grający nieskąpo sobie dolewając, prowadzili przytém to gry, to innych przedmiotów dotyczącą się rozmowę, do któréj niekiedy wmieszała się cienkim głosem pani Siemaszowa, drzymiąca nad kołowrotkiem, po skończonym właśnie rożańcu.

»Bardzom ciekawa kochańciu«, rzekła »jak téż naszemu Matyjaszkowi udał się ten tam dyjalog wczorajszy i czy się dziecko nie sforsowało, bo to nie przelewki przy tylu gościach wystąpić. Pamiętam jeszcze za życia ś. p. pani kasztelanowéj sanockiéj, panie świéć nad jéj duszą! jako panna respektowa byłam raz z nią na takim dyjalogu w Przemyślu i widziałam, jak się niebożątka pocili.«

»Nie spominaj mi moja panno śliczna*) o tym przeklętym, Boże odpuść! dyjalogu« odparł pan Siemasz markotny właśnie, że proboszcz cztérdzieści wyświęcił. »Nigdy byłbym na to nie pozwolił, ażeby mój chłopak do tego należał, ale bałem się obrazić profesorów. No księżę proboszczu«, dodał z uśmiéchem, »masz szóstkę pod fila, a resztę oddaj jak niepyszny.«

»Nie ma co mówić«, odezwał się proboszcz, »jegomość grasz nie przymiérzając jak Tatar, i miałem cztérdzieści i nie dogram się podobnoś.«

»Zapijmy tę sprawę księżuniu, do ciebie *reverende,* a jak pięknie poprosimy, to nam jéjmość da miodku na waletę, nie prawdaż moja panno śliczna?« Wstał i pogłaskał pod tłusty podbródek swoję kochaną połowicę, z którą już lat dwadzieścia okładem żyjąc, kochał ją, jak tegoczesny małżonek nie kocha lepiéj swéj żony na drugi dzień po ślubie. »Nie prawdaż« rzecze daléj, »i ty z nami napijesz się rybko, śklaneczka do poduszki nie zaszkodzi, a będziesz miała sen dobry, bo to stary wytrawny miodek, syciłem go, gdy się nasz malec urodził. Napijemy się z księdzem dobrodziejem w dobréj komitywie, tylko o tym dyjalogu nie mówcie mi więcéj ani słowa, jakem *Sodalis Marianus* wolałbym prawdziwie, ażeby mój chłopak uciekł był ze szkoły, nim na *teatrum* z ujmą rodowitości Siemaszów błazna prezentował.«

Zasiadł znowu do gry, a jéjmość tymczasem wziąwszy kluczyki z kołeczka, świécę i spory dzbanek, poszła do piwnicy utoczyć polskiéj medery, i śród nastałéj ciszy w komnacie słychać było tylko jak po wschodach, tuż za drzwiami do piwnicy prowadzących, odtętniały korki jéj trzewików i dzwoniły kluczyki spiżarne.

Przyniesienie miodku przerwało na chwilę maryjasza, i gdy pan Siemasz proboszczowi i sobie po lampce nalał, a nawet skłonił swoję pannę śliczną, że także, luboć z niejakiémi ceregelami, kieliszek wypiła, ozwał się ksiądz proboszcz nareszcie, szanownych gospodarzy uczęstowawszy tabaką. »Wyborny miodek, nie piłem takiego nawet u księdza przeora w Samborze; powiadają: *in vino veritas,* ale w tym miodku większa prawda i słusznie się mu piérwszeństwo przynależy.«

»No, pijże *reverende,* kiedyś tak łaskaw go chwalić«, podchwycił pan Siemasz rad z pochwały swego ulubionego trunku i wzbraniającemu się księdzu drugą śklanicę nalał. »Jak powiedziałem«, mówił daléj, »miodowi temu już lat dwadzieścia, tyle co memu chłopcu, syciłem go *anno milesimo septingentesimo quadragesimo quarto*, właśnie gdy panował ostatni z Sasów, panie świéć nad jego duszą, bo był dobrym i dobrze o nim powiadano: *Za króla Sasa popuszczaj pasa*; terazby może trzeba *pociągaj pasa* powiedzieć, bośmy kaducznie wychudli.«

»Jeżeli kto, to nie wy przynajmniéj«, odezwała się z pod komina rozweselona miodkiem pani Siemaszowa, »już to wam obu nie uroku.«

Na tak niespodziéwany zarzut popatrzyli na siebie pijący, a ujrzawszy potężne brzuchy, roześmieli się z całego gardła, podali sobie ręce i zażyli tabaki w najlepszéj komitywie.

»Gdyby tu był przypadkiem nasz chłopak«, kończąc drugą śklanicę, ciągnął dalej dyskurs pan Siemasz, »musiałby także choć pokosztować z nami, *saltem degustare labiis*, bo szlachcic od młodu do kielicha zaprawiać się powinien, a potém w życiu jak znajdzie, czy to Mosanie na konferencyi prawniczéj, czy na sejmiku.«

»O gdyby tu był!« westchnęła pani Siemaszowa, tą razą jednak nie wpływem wypitego miodku, lecz macierzyńskiéj miłości do swojego jedynaka. — Ledwie to rzekła, coś zastukało w sieniach, drzwi nieśmiało się otwarły i Matyjaszek rzucił się do nóg swéj matki.

»Wszelki duch chwali pana Boga, wszakci to on!« zawołała uradowana matka i nuż przyciskać i tulić jedynaka do swojego serca.

»Z kąd się tu waszeć wziąłeś?« zawołał groźnie stary jegomość, gdy Matyjaszek po kolei jemu uściskawszy nogi, księdza proboszcza w rękę pocałował.

»Jak niebożątko przeziębło«, rzecze troskliwie pani Siemaszowa, »siadaj tu i ogrzéj się przy kominie.«

»Sam przyszedłeś chłopcze, a gdzież pan dyrektor?« badał coraz surowiéj jegomość, bo mu tak nagłe pojawienie się syna, nito *Deus ex machina*, zaczęło być podejrzaném.

---

*) Zwykła dziadów naszych z swémi żonami pieszczota.

»Ach tato bij mnie, wypędzaj, ale już z tąd nie pójdę, nie powrócę do Sambora!« na pół z płaczem zawołał Matyjaszek i padłszy przed ojcem na kolana, czołgał się u nóg jego.

»*Quidnam* się stało?« z gniewem zapytał pan Siemasz i po wygolonéj pogłaskał się czuprynie.

»Mów Matyjaszku, wszakże cię jegomość nie upiecze«, rzekła wstawszy pani Siemaszowa dla powstrzymania męża, który już szukał kańczuga i własnémi plecami zasłoniła chłopca.

Tu Matyjaszek na pół z płaczem opowiedział całą historyję o nieszczęsnym dyjalogu, zataiwszy jednak przezornie, co go przywiodło do tak nagłego zmiészania się w roli. Księża profesorowie upatrując w nim istotną przyczynę, nieudania się dyjalogu, a z tąd swojéj konfuzyi, zaraz nazajutrz kazali go zamknąć o chlebie i wodzie do karceresu. Matyjaszek obawiając się, by jeszcze większa nie spotkała go konfuzyja, nie wiele myśląc, wyłamał w nocy nadbutwiałe kraty więzienia studenckiego i prosto uciekł do domu, mając rodziców tak blizko Sambora. Ksiądz proboszcz wstawił się za nim, obeszło się więc bez plag, których Matyjaszek spodziéwał się niezawodnie, i postanowiono tak długo zatrzymać go w domu, aż póki, co daléj czynić, familijna rada nie uchwali. Gdyby to z innéj okoliczności, nie z powodu tak nienawistnego panu Siemaszowi dyjalogu, była ta ucieczka nastąpiła, nie byłoby się tak łatwo upiekło Matyjaszkowi i byłby spadł z dészczu pod rynnę, *alias* z pod batoga profesorskiego pod kańczug ojcowski, bo stary nieszczérze myślał przekładając przed chwilą ucieczkę syna nad granie dyjalogu; ale w tym składzie rzeczy, przytém wzięty za słowo, w końcu i ojciec mu przebaczył, a ciągle klęczącemu synowi pozwoliwszy powstać z ziemi, tak ujął tém serce swéj połowicy, że jegomościa ze łzami w oczach pocałowawszy w rękę, sama z własnego popędu pobiegła po świéży gąsiorek miodu i nie puszczono księdza, aż szlachetnego płynu do kropli nie wycedził. Tym czasem ukochanym Matyjaszkiem szczérze zajęła się matka i po całodziennym poście w karceresie, smakowały mu bardzo pirogi i półgąski rodzicielskie, przeplatane macierzyńskiemi pieszczotami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ojciec Belliniego.

Ułamek z pobytu A. Dumasa w Katanii.

...Zapytałem mojego przewodnika, czy zna starego Belliniego. Na te słowa obejrzał się spiesznio przewodnik, i pokazując mi staruszka, który przejéżdżał wózkiem jednokonnym, rzekł:

»Oto on właśnie na wieś jedzie.«

W oka mgnieniu poskoczyłem ku niemu i zatrzymałem go, gdyż byłem tego zdania, iż nigdy nie jesteśmy natrętni ojcu, gdy mu o jego synu donosimy, a mianowicie o takim, jakim młody Bellini. Jakoż w saméj rzeczy za piérwszém słowem, którem wyrzekł, ujął mnie staruszek za rękę i zapytał, czyli istotnie znam jego syna. Na te słowa wyjąłem z pugilaresu list, który, gdym odjeżdżał z Paryża, dał mi Bellini z poleceniem do księżnéj Noja, i zapytałem go, ażali zna ten napis. Całą odpowiedzią ojca było, iż wziął list z mojéj ręki, i ucałowawszy napis, odezwał się do mnie w te słowa:

»O, gdybyś pan wiedział, jak on do mnie jest przywiązany! Nie jesteśmy wprawdzie majętni; ale z każdéj pracy, która się mu powiedzie, przysyła mi jaką pamiątkę, a każdą pamiątką usiłuje mi starość moję osłodzić. Gdybyś wpan do mnie wstąpił, pokazałbym mu mnóstwo rzeczy, które jego synowskiéj miłości są dowodem. Oto ten zégarek mam z *Normy;* ten wózek i ten koń jest częścią tego, co mu *Purytanie* przyniosły. W każdym do mnie pisanym liście, donosi mi, że chce do mnie przyjechać, ale z Paryża jest tak daleko do Katanii, że ja nie wierzę tym obietnicom jego, i obawiam się, abym nie umarł, nie ujrzawszy go przed śmiercią. Wpan, ach wpan będziesz go widział.«

»Tak jest«, odrzekłem, sadziłem bowiem, że się z nim widzieć będę; »i jeżeli wpan masz dać jakie zlecenie....«

»Bynajmniéj. Cóż mu mam dać? Chyba błogosławieństwo moje? Biédny synu! Błogosławieństwo moje daje ci rano i w wieczór. Powiédz mu wpan, żeś mnie uszczęśliwił w tym dniu, w którym mi o nim opowiadałeś: potém, powiédz mu, żem wpana jak dawnego przyjaciela mego uściskał.« To mówiąc staruszek uściskał mnie.—»Ale nie spominaj mu, żem ja płakał«, dodał z uśmiechem, »wszak ja płaczę z radości. Toż mój syn istotnie zjednał sobie sławę?«

»I bardzo wielką, upewniam wpana.«

»Rzecz osobliwsza! Któżby się był tego spodziéwał, gdym ja był markotny o to, że on zamiast brać się do roboty, siedział i dając nogą takt, siostrę swoję uczył śpiéwać starożytne nasze piosnki sycylijskie? Ale taki wyrok padł z nieba. Ach! raz jeszcze przed moją śmiercią radbym go widzieć!«—Staruszek chciał mnie koniecznie wziąć do siebie, abym u niego przynajmniéj jeden dzień zabawił. Ale to było niepodobieństwem. Przyrzekłem mu odwidzić go, gdy przez Katanije powracać będę; potém ścisnął mnie serdecznie za rękę i pojechał. Ale zaledwie że się na kilka kroków oddalił, już znowu mnie przywołał. Pospieszyłem ku niemu.

»Jakże się wpan nazywasz?« zapytał mnie; »zapomniałem prosić o nazwisko wpana?«

Wymieniłem mu, ale nazwisko to nie obudziło w nim żadnego wspomnienia.—Nawet w swém własném dziécięciu nie znał artysty, tylko przywiązanego syna.

»Aleksander Dumas, Aleksander Dumas«, powtarzał kilkakrotnie. »Dobrze, nie zapomnę, że mi ten, który się tak nazywa, dobre wieści od mojego syna przywiózł... Aleksander Dumas, *Adieu, adieu!* Będę pamiętał o nazwisku wpana; *adieu!*«

Biédny staruszku! jestem pewny, żeś o mnie nie zapomniał, gdyż wieści, którem ci przywiózł, były ostatnie, któreś otrzymał!— Wiadomo, że Bellini już nie żyje.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 4 i obejmuje: 1) Odpowiedź na niektóre ze 112 pytań, piątemu zgromadzeniu niemieckich i lasowych gospodarzy, na posiedzeniach od 1go do 8go września 1841 w Doberanie, w Wielkiém księztwie Meklenburskiém, do rozwiązania przedłożonych. 2) O tuczeniu zwierząt domowych. (Ciąg dalszy). 3) Sposób uchodzenia zacierów gorzelnianych, przyrządzenie sztucznego fermentu i prowadzenie fermentacyi.

Lwowianina zeszyt II, który d. 1. lutego prasę opuści, zawiera: *Z oddziału krajowego:* 1) Wiersz do Szafarzyka. 2) Skoczyszcze, balada przez W. O. z M. 3) Kontrakty, powiastka przez K. S. 4) Narol, Lubycza, Rawa, Żółkiew. Cztéry obrazy historyczne. *Z oddziału zagranicznego:* 1) Rudolf hrabia Habsburg, cesarz niemiecki, obraz historyczny przez M. Michalewicza. Oddział literatury obejmuje nowiny literackie tak krajowe jakoteż zagraniczne, a w końcu umieszczona jest politechnika, czyli wynalazki w gospodarstwie domowém przydatne.

Dnia 7go b. m. umarł w Poznaniu Kazimiérz Buchowski, były profesor matematyki przy gimnazyjum poznańskiém, autor dzieła: *Wyższa analiza, czyli o rachunku całkowito-różniczkowym.* Rodem był z Galicyi.

Do dwudziestu kilku ogłoszonych w Warszawie pism czasowych, jedno jeszcze przybywa, pod tytułem: *Kmiotek.* Przeznaczone jest dla klasy włościan umiejących czytać i ma zawiérać w stylu popularnym to wszystko, co włościanina oświecić lub zabawić może. Cel zaiste bardzo chwalebny, ale czy odniesie skutek, wątpimy. Już piérwszą przeszkodą jest za droga prenumerata 10 złp. rocznie, podczas gdy podobnéj dążności poznańska *Szkółka niedzielna* tylko 4 złp. kosztuje.

P. Hagen przełożył z francuzkiego na niemieckie szacowne dzieło hrab. Atanazego Raczyńskiego: *Historyja sztuk pięknych w Niemczech.*

Sheridan Knowles, najznakomitszy żyjący angielski pisarz trajedyi, pracuje nad dramatem z dziejów Kościuszki.

Pan Beniowski daje w Londynie po zakładach naukowych prelekcyje mnemotechniczne.

Z powodu tłumaczenia *Konrada Wallenroda* przez Henryka Cattleja, dzienniki angielskie rozpisały się o tym poemacie. Mianowicie *Court Journal* trafne uwagi umieścił, przydawszy rzecz o Sławianach i literaturze sławiańskiéj.

Charles Dickens, który w krótkim czasie zjednał sobie autorską sławę, popłynie na pół roku do Ameryki, dla ułożenia się z jednym z tamtejszych księgarzy i zabieżenia przedrukowi pism swoich, co dla niego jest rzeczą wielkiéj wagi. Dickens zebrał już za swoje dzieła tak znaczny majątek, jak niegdyś Walter Skott, żeby zaś, podobnie jak tamten, nie utracił swego zarobku przez cudzą winę, własnym kosztem swoje pisma wydaje. Będzie temu lat kilka, gdy mu jeszcze księgarz Bentley płacił co tygodnia po dwie gwineje, a teraz jest właścicielem przepysznego domu, ma licznych w świetnéj liberyi służalców, tudzież spaniały powóz i konie. — Drugim młodym autorem angielskim, który także w krótkim czasie znaczny zebrał majątek, jest Harrison Ainworth, autor dzieł: *Jack Sheppard; Guy Fawkes* i t. d. Ten żyje bardzo wystawnie, i można go widzieć prawie każdéj godziny w dzień przejeżdżającego się w pięknym ekwipażu po ulicach Londynu, gdyż tylko w powozie dzieła swoje układa.

Rafael i Murillo. Hrabina Ida Hahn-Hahn jenijalna autorka *Listów o podróży,* podaje następującą charakterystykę tych najcelniejszych artystów włoskiéj i hiszpańskiéj szkoły malarskiéj: »Rafael plastykę starożytną a Murillo człowieka w świętość zamienił. Niech to nikogo nie zadziwia, że ja tych dwóch mężów razem stawiam; gdyż tylko ci dwaj mają w sobie coś spólnego. Zresztą nié masz między nimi innego podobieństwa, jak tylko to, że każdy z nich swoim sposobem najwyższy szczyt sztuki osiągnął i najdoskonalsze dzieła utworzył; żyli oni w czasach i stosunkach bardzo od siebie różnych, Rafael był ulubionym wychowańcem greckiéj piękności, którego hojnie wszelkiemi zdolnościami obdarzyły gracyje, i żeby je poznał, dały mu oko i duszę. Duszę Murilla zaś przeniknęła promieniem swoim piękna, prosta natura, i zamiast greckiéj gracyi wstąpiła w niego ekstatyczna wiara, i odsłoniła mu swoje tajemnice święte. Jak Rafael jest malarzem Madon — tak Murillo malarzem Świętych. Jakoż obadwaj wydali różnorodne arcydzieła; ale w utworach tych nie można ich zupełnie z innymi malarzami porównać. Obok Madonny Sixtiny każda inna wydaje się być ziemską; obok Św. Tomasza de Villaneuva każdy Święty nié ma świętości w sobie. Co zaś do miękkości, pewności pędzla, szmelcu farb, poprawnego konturu, sądzę, że Rafał tak przewyższa Murillego, jak mu w grupowaniu ustępuje. Nie mówię ja tu aby układ osób czyli tak zwane grupowanie Rafaelowi z trudnością przychodziło; jednakże widać, że miał o tém staranie, przeciwnie zaś postacie u Murilla są w tak niewyszukanéj zgodzie, jak gwiazdy w konstelacyi.

Nowy wynalazek. W politechnicznym instytucie w Londynie, odbyto niedawno elektro-magnetycznym telegrafem drukarskim próbę, która jak najpomyślniéj się powiodła. Wynalazcą jest Aleksander Bain, który już swémi chronometrami sławę sobie zjednał. Za pomocą tego nowego telegrafu, może jedna osoba korespondować z drugą w odległości, w jakiéj się podoba, a to tak, iż wszystko, co jedna drugiéj ma powiedzieć, okaże się wydrukowane z takim pośpiechem, iż z Londynu do Wolwichu w jednéj sekundzie porozumieć się można. Zasada tego wynalazku jest niemal taż sama, co przy dzwonach elektrycznych i elektrotelegrafach.

Prześladowanie Chrześijan w Chinach. Podług dziennika *Diario di Roma* pod dniem 5. grudnia, zaczęto znowu prześladować katolickich misyjonarzy w Chinach, i tak, stracono tamże męczeńską śmiercią apostolskiego wikaryjusza Ignacego Delgado.

Na licytacyi galeryi obrazów hrabiego Perregaux, która niedawno odbyła się w Paryżu, okazało się powtórnie, że namiętne upodobanie w dziełach niektórych artystów szkoły holenderskiéj, coraz

bardziéj się wzmaga, a szczególniéj w obrazach Hobbema i Cuypa. I tak otoczoną drzewem liściowém chatę wiejską, pędzla Hobbema, przedano za 23,000, a obraz Cuypa, przedstawiający siedm krów na pastwisku, za 18,000 franków. Cenę za *Szpiega* pędzla Wouwermana, posunięto aż do 35,000 franków, i tak wszystkie obrazy holenderskie sprzedawano po wysokich cenach. Włoskie obrazy nie bardzo popłacano; i tak portret kobiéty Pawła Veronese zbyto za 6510 franków. Po dobréj szły cenie starożytne obrazy francuzkie, za *Amora* pędzla Greuze dano 7,500, a za *Psychę* tegoż samego malarza 8,550 franków. Cała kwota za galeryję należącą ze wszech miar do najcelniejszych, wynosiła wogóle 441,828 franków. Najcelniejsze obrazy dostały się, jak zwykle, w ręce kupców angielskich.

Nazwisko cesarza chińskiego. Istotne imię cesarza chińskiego, rzadko kiedy albo nigdy nie jest wiadome. Podczas wstąpienia na tron, przyjmuje on nazwisko, którém zawsze, gdy o nim jest mowa, mianować go należy; bo kto przypadkiem lub umyślnie wymieni lub napisze prawdziwe jego nazwisko, dopuszcza się przestępstwa, które śmiercią i zabraniem majątku karaném bywa. I tak pewnego uczonego, który w jedném z dzieł swoich przypadkiem użył słowa Ming, to jest istotnego nazwiska owoczesnego cesarza, stracono razem z jego synem, a żonę, córki, tudzież innych powinowatych wygnano z kraju i majątek ich zabrano.

Wywóz broni z Belgii. Pisma belgijskie donoszą, że z królewskiéj odlewni dział w Leodyjum od początku 1840 roku 454 odlanych dział wyprowadzono. Fabryka ta zatrudnia 150 ludzi, którzy do rzeczonych armat 1,889,000 kilogramów metalu a 2,314,000 kilogramów węgli wypotrzebowali.

O rzeczypospolitéj niewieściéj, która aczkolwiek nie jest wojownicza, ale też i nie bardzo zgodliwa, czytamy w »Gazecie kolońskiéj« co następuje: »Madara, włość na Wołoszczyźnie, niemal czternaście mil od Ruszczuka odległa, zjednała sobie przezto wielką etnologiczną sławę, że ją przez lat kilkadziesiąt przeszło 2,000 samych niewiast zamieszkiwało. Nie były one wprawdzie bohaterkami jak Amazonki, odłączyły się wszelako od wszystkich mężczyzn i staczały walkę z każdym, który nie będąc wezwanym, do ich okręgu się przybliżał. Z tém wszystkiém ta rzeczpospolita niewieścia, podług najnowszych wiadomości jest blizka rozwiązania się; przynajmniéj nie słychać już o ich zabiegach odmawiania żon mężom, a dziewcząt ich kochankom. Niewiasty te trudnią się uprawą pola, chowem bydła, niektóremi rzemiosłami, polowaniem, łowieniem ryb i strzeżeniem granic swéj włości. Wszystkie są religii mahometańskiéj.«

Gaża śpiewaków. W dzienniku *Telegraph* czytamy co następuje: »Gaża śpiewaka przechodzi teraz kwotę, jaką przed stu laty całe towarzystwo opery pobiérało. Wydatki na osoby, to jest na śpiewaków, baletników, maszynistów, krawców, orkiestrę i t. p. wynosiły podówczas tylko 67,000 liwrów. — Piérwszy śpiewak pobiérał rocznie 1,500, piérwszy baletnik 1000, a piérwsza baletniczka 900 liwrów. — Sąto kwoty, za któreby teraz Taglioni mazura, a Elsler *kachuchy* tańczyć nie chciała. — W Anglii płacono dość znacznie włoskim śpiewakom w porównaniu z gażą ich braci przy operze francuzkiéj; wszelako nigdzie nie dawano tak wielkiéj gaży, jak przy włoskiéj operze w Londynie. Śpiewak Senisius, pod dyrekcyją Händla, brał za jednę *saison* 1,500 gwinców; drugi Farinelli, po krótkim pobycie w Anglii, uzbiérał sobie znaczny majątek, kupił w swojéj ojczyźnie dobra, i pamiętny na źródło swego zbogacenia, wystawił w nich świątynię, którą »*angielskiemu głupstwu*« poświęcił.— Malibran pobiérała roku 1829 przy operze londyńskiéj za każdy wieczór 75 gwineów, oprócz tego miała także *benefis;* a przy włoskiéj operze w Paryżu roku 1830, płacono jéj za każdy wieczór 1,175 franków. — Po upływie trzech *saisons* w Paryżu, a dwóch w Londynie, uzbiérała 24,000 funtów szterlingów. W roku 1833 była zaangażowana w teatrze *Drurylane* po 150 funt. szterl. za każdy wieczór; późniéj zaangażowano ją do Petersburga na trzydzieści wieczorów za 3,775 funt. szterl. — Julija Grisi za występowanie w koncertach i dramatach w Londynie i Paryżu, uzbiérała w jednym roku 10,000 funtów szterlingów, co niedawno przed sądem paryskim udowodniono. — Pani Damoreau-Cinti otrzymała od paryskiéj *Opera comique* 60,000 frank. Dochody Taglioni w Petersburgu, Wiedniu i Londynie, możeby się jeszcze większémi okazały, gdyby nam dokładnie wiadome były, wszelako sądzić można, że są daleko mniejsze od kwoty, którą Nowy świat (Ameryka) dla Fanny Elsler zezwolił, gdyż wiadomo, że ją w Hawannie na jeden miesiąc za 40,000 funtów szterlingów zaangażowano. — Podług wykazu ogłoszonego w pismach publicznych, przytaczamy tu jeszcze gaże śpiewaków, będących obecnie *en vogue* we Włoszech: Moriani pobiera 24,000; Salvi 10,000; Donzelli 28,000; Reina, Poggi i Pedrazzi 12 do 16,000; Ronconi i Marini około 16,000; zaś pani Straponi, Schoberlechner i Ronzi po 20,000; pani Marini 14,000; panna Francilla Pixis 16 tysięcy; pani Ungher 28,000 złr. m. k.«

Aforyzmy. Te dwie klątwy, które Bóg rzucił z osobna na mężczyznę i niewiastę, padły połącznie na głowę poety: »*W pocie czoła twego będziesz na chleb pracował. W boleści rodzić będziesz dzieci twoje!*«

Więcej jest bogatych niżeli mądrych na świecie, bo ziemię ludziom darowano, a na niebo zasłużyć muszą.

Kraj wolności. Scena przed sądem angielskim. Lionel Letturne, rodem Francuz, ale bynajmniéj do swoich ziomków nie podobny, bo niezgrabny i gapiowaty—stawiony jest przed panem Hoskins w Marylebone dla tego, że go onegdaj w wieczór zapitym na ulicy znaleziono. Pan Hoskins: »Czy zaprzeczasz, co konstable powiada?« — Obżałowany: »Nie zaprzeczam Sir.« — Pan Hoskins: »Chceszże zapłacić pięć szylingów?«—Obżałowany: »Nie chcę, Sir.«— Pan Hoskins: »Ale musisz.«—Obżałowany: »Muszę, a to za co?«—Pan Hoskins: »Żeś się upił.«— Obżałowany: »Za tom już szynkarzowi zapłacił.« —Pan Hoskins: »Tu nie ma o szynkarzu mowy; kara pieniężna przynależy królowéj.« — Obżałowany: »Królowa i tak już nazbyt bogata; nie potrzebuje moich pięciu szylingów. Ja jéj nic nie zapłacę.«— Pan Hoskins: »Więc musisz pójść do więzienia.«— Obżałowany (z gniewem): »Do milijon czartów! I to ma być kraj wolności? i nią się *John bull* chlubi? Bierz diabeł taki kraj, gdzie się nawet upić nie wolno! Oto masz wpan pięć szylingów, ale powiadam mu, podaj jak najprędzéj prośbę do izby niższéj, aby pijaństwo od kary wolne było, inaczéj żaden poczciwy człowiek w waszym kraju wytrzymać nie zdoła.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.